

Opętana wojną domową Hiszpania staje się sceną,
na której rozgrywa się dramat miłości niemożliwej...

KURIER Z TOLEDO

WOJCIECH DUTKA

Autor bestsellera „Czerń i purpura”

L I R A
WYDAWNICTWO

KURIER Z TOLEDO

WOJCIECH DUTKA

**KURIER
Z TOLEDO**

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2019

ISBN: 978-83-66229-56-3

PROLOG

Z DZIENNIKA ANTONIEGO MOKRZYCKIEGO, NOWY JORK, 28 KWIETNIA 1979 ROKU

W lipcu 1936 roku w Hiszpanii wybuchła wojna domowa — kiedy prawicowa część armii pod przywództwem generała Francisco Franco wypowiedziała republice hiszpańskiej walkę na śmierć i życie. Znalazłem się tam w owym czasie jako pracownik polskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, a w rzeczywistości jako agent polskiego wywiadu, słynnej Dwójki¹. Widziałem chaos, śmierć i wzbierającą jak rzeka po burzy nienawiść, która podzieliła ten wspaniały kraj i ludzi. Brat występował przeciw bratu, przyjaciel przeciw przyjacielowi, a dzieci przeciw rodzicom. Poróżniali się sąsiedzi, znajomi ze studiów i kochankowie. Hiszpania płynęła krwią.

Teraz, kiedy sięgam pamięcią do tamtego lata, znów powracają wspomnienia. Przyblakłe obrazy nabierają barw, a emocje ponownie sprawiają cierpienie. Przeszłość, w której próbowałem zamknąć smak zakazanej miłości, znów dała o sobie znać. Pamiętam każdą chwilę, którą udało się nam spędzić razem w Hiszpanii późną wiosną i latem 1936 roku. Nigdy potem nie oddałem się nikomu z taką pasją życia jak wtedy. I wiem, że ten drugi człowiek kochał mnie najmniejszą swoją częścią aż po śmierć. Teraz wiem, że te chwile były mi ofiarowane przez Boga jako esencja życia.

1 Dwójka – popularna nazwa drugiego zarządu sztabu wojska polskiego, kontrwywiadu wojskowego RP.

Jestem już stary i moje ciało zwiędło. Nikt na nie już nie patrzy. Nikt go nie pożąda. Żałuję wszystkich grzechów, które popełniłem w życiu, oprócz tego jednego. Pamiętam zapach jego włosów i skóry. To był mój piękny hiszpański grzech.

Wkrótce moje życie się skończy. Zanim dobry grabarz przykryje mi twarz piaskiem, chcę raz jeszcze przeżyć to wszystko. Choć na krótką chwilę raz jeszcze poczuć w pełni życie i miłość, bez której nic nie ma sensu. Dzięki niej nie żałuję ani jednej minuty, ani jednego pocałunku i ani jednej wspólnie spędzonej chwili.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I *Dyplomata*

WARSZAWA, WIOSNA 1936 ROKU

Przed gmach Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Warszawie zajeżdżał samochód. Po chwili wysiadł z niego szofer i otworzył drzwi Citroëna, z którego wysiadł elegancki mężczyzna w garniturze starannie dopasowanym do jego sylwetki.

— Nie czekaj na mnie — powiedział mężczyzna do szofera. — Po południu przejdę się na obiad do hrabiny Skirmuntowej.

Hrabia lubił od czasu do czasu przemieszczać się *per pedes*. Prośba nie zdziwiła szofera, który szybko odjechał zadowolony, że będzie miał wolne popołudnie.

Tymczasem hrabia Antoni Mokrzycki, lat dwadzieścia osiem, został wezwany przez ministra Józefa Becka do MSZ w trybie nagłym. Nie znał celu tak pilnego wezwania, ale skoro przełożony prosił go o stawienie się, musiał mieć ku temu powód. Od trzech lat w ministerstwie podobne nagłe narady były na porządku dziennym i koncentrowały

się na dwóch kwestiach wymiennie: raz Hitler, innym razem Stalin, i tak w kółko. Póki żył Marszałek, można było pozwolić sobie na złudzenia. Jednak Piłsudski zmarł wiosną poprzedniego roku, a pułkownik Beck poczuł się wówczas bardzo samotny. Odtąd sam musiał podejmować decyzje, a do tego się nie nadawał. Jednak Antoni Mokrzycki nie dał po sobie poznać, co naprawdę myśli o swoim przełożonym. Dyplomata w każdym calu.

Wyglądził garnitur. Kwiecień tego roku był ciepły. Wszedł do budynku, po czym podał umundurowanemu podoficerowi Wojska Polskiego (sanacja lubiła mundury) swoje dane. Sprawdzono jego tożsamość, a następnie jeden z wojskowych przekazał telefonicznie, że hrabia Mokrzycki we własnej osobie czeka na spotkanie z ministrem. Po chwili podoficer dał znać, że hrabia może iść na spotkanie.

— Znam drogę — rzekł na odchodne mężczyzna.

Antoni Mokrzycki, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, na którym studiował literaturę hiszpańską i historię, miał opinię specjalisty do spraw hiszpańskich i iberoamerykańskich. Rzeczpospolita, będąc krajem suwerennym i niepodległym, nawiązała kontakty dyplomatyczne z wieloma krajami świata. Hiszpania była jednak od Polski i jej spraw tak odległa, że Mokrzycki dziwił się bardzo, iż został wezwany do ministerstwa w trybie tak nagłym, jak gdyby co najmniej zajmował się kwestią niemiecką albo sowiecką.

Po kilku minutach zapowiedział się w sekretariacie ministra. Sekretarki były miłe, lecz obojętne. Jedna z nich zbliżyła się i powiedziała:

— Minister czeka na pana hrabiego.

Mokrzycki przestąpił próg i ujrzał łysiejącą głowę pułkownika Becka siedzącego za pięknym masywnym biurkiem w stylu Ludwika XVI. Na biurku znajdowało się sporo teczek, papierzysek, małe marmurowe popiersie marszałka Piłsudskiego i zdjęcie żony ministra. Po chwili Beck podniósł oczy i powiedział:

— Dobrze, że zjawił się pan tak szybko.

— Czy mógłbym zapytać o powód?

— Mógłby pan — rzekł Beck, podchodząc do niego i serdecznie ściskając Mokrzyckiemu dłoń. — Wezwałem pana, ponieważ otrzymałem bardzo niepokojący raport od księżnej Aristizábal. To dystyngowana, tradycyjna w każdym calu dama, która wykonuje zlecenia dla naszej Dwójki. Przed laty jej syn był ambasadorem w Polsce, miała więc okazję bywać u nas w Warszawie. Prowadzi dziś dwór w Grenadzie, gdzie spotyka się z wieloma ludźmi. Według niej wybuch wojny domowej jest już tylko kwestią czasu. Zawiązał się spisek wyższych dowódców wojska hiszpańskiego przeciw republikańskiemu lewicowemu rządowi. Proszę pomyśleć — ewentualny wybuch wojny w Hiszpanii otworzy naszym wrogom, Niemcom i Sowiecom, pole manewru na skalę, jakiej jeszcze nie doświadczyliśmy!

— Czy to dla mnie zadanie? — zapytał Mokrzycki, przyznając w duchu, że Beck mówi do rzeczy.

— Nie inaczej. Muszę wysłać mojego najlepszego człowieka do spraw iberyjskich do Hiszpanii.

— Pochlebia mi pan minister.

— Pana zadaniem będzie dowiedzieć się na miejscu, jak bardzo Niemcy i Sowieci mogą się tam zaangażować. Oczywiście jeśli to pana interesuje — rzekł minister.

— Brzmi ekscytująco.

— Uda się pan do Hiszpanii, do naszej ambasady. Formalnie będzie pan mieć status *chargé d'affaires*, ale otrzyma daleko większe kompetencje. Będzie pan zbierał informacje wywiadowcze, szczególnie ma pan uważać na Niemców i Sowieców, gdyby pojawili się w Hiszpanii w związku z kryzysem politycznym w tym kraju.

— Czy sytuacja jest tak poważna? — zapytał Mokrzycki.

— Niestety tak — odparł Beck. — Tak źle nie było od czasu wyjazdu króla z Hiszpanii. Księżna Aristizábal, którą pan pozna, pisze do mnie, że sytuacja gwałtownie zaostrzyła się w lutym bieżącego roku, kiedy lewica wygrała wybory. Front Ludowy ma większość w parlamencie i zaczyna powrót do wielu bolesnych reform. Płoną kościoły... Lewica uważa, że Kościół jest źródłem zacofania społecznego Hiszpanii. Proszę sobie wyobrazić coś takiego u nas!

— Niemożliwe. To przecież bolszewizm.

— Pan tego nie pamięta, ale kiedy bolszewicy szli na Warszawę w 1920 roku, zdarzały się różne rzeczy, w tym wieszanie proboszczów na drzewach. Księżna pisze, że prawica w Hiszpanii oraz armia coś przygotowują. Wiedzą o tym wszyscy, ale rząd uważa, że problemu nie ma, a prawica i katolicy są coraz bardziej przerażeni skalą zmian, jakie wprowadza lewicowy rząd. Pana zadaniem jest połapać się w tym wszystkim. Nie mamy zbyt wielu ważnych agentów w Hiszpanii, stanie się pan więc moimi uszami i oczyma, że się tak wyrażę — skwitował minister Beck.

— Kiedy mam ruszać?

— Jak najszybciej. Zakładam, że dwa tygodnie wystarczy panu, aby zamknąć bieżące sprawy w kraju.

— Właśnie się zaręczyłem.

— Ach, nie wiedziałem — rzekł Beck zaskoczony. — O niczym pan nie wspominał. Kim jest wybranka pańskiego serca?

— Monika Skirmuntówna — odparł dumnie młody człowiek.

— Rodzinę znam, litewska szlachta. Znakomita partia dla pana.

— Dziękuję, panie ministrze.

— Czy misja, którą panu powierzam, jest przeszkodą osobistą w obecnej sytuacji?

Mokrzycki odchrząknął, dobierając słowa, by nie powiedzieć czegoś niestosownego.

— Myślę, że nie — odrzekł po chwili namysłu. — Znamy się z narzeczoną i rozumiemy. Narzeczeństwo w naszym towarzystwie powinno trwać przynajmniej rok. Jej rodzice wymagają zachowania dobrego tonu we wszystkim. Moi również tego właśnie oczekivaliby od dziedzica tytułu hrabiów Mokrzyckich, ale jak pan minister wie, od kilku lat jestem sam na tym świecie. Czy narzeczoną będzie mogła do mnie przyjechać?

— Oczywiście. Wrzucimy to w koszty ministerstwa.

Mokrzycki uśmiechnął się zadowolony. Właśnie takiej odpowiedzi od Becka oczekiwał. Pożegnał się z ministrem. Ustalili, że szczegóły wyjazdu zostaną omówione z szefem protokołu i zarazem dyrektorem organizacyjnym ministerstwa, kapitanem Waredą. Mokrzycki miał dostać bilety na ekspres do Paryża, a stamtąd podróżować dalej do Hiszpanii.

Po spotkaniu z ministrem Mokrzycki udał się na piechotę do rodziców narzeczonej. To narzeczeństwo było do pewnego stopnia wymuszone sytuacją. Mokrzycki miał nazwisko i majątek nieobjęty hipoteką, czego nie można było powiedzieć o majątku Skirmuntów żyjących ponad stan. To prawda, że Skirmuntówna miała opinię dziewczyny raczej niedostępnej i wyniosłej. Studiowała malarstwo we Lwowie, stąd nieczęsto mogli spotykać się w Warszawie, gdzie na co dzień Mokrzycki pracował. Była od niego o pięć lat młodsza, ale uchodziło to za dobre rozwiązanie w ich towarzystwie. Poznali się na jednym z niekończących się przyjęć wyższych sfer sanacyjnej Polski, na których do dobrego tonu należało znać Eugeniusza Bodo lub chodzić na przedstawienia kabaretu Qui Pro Quo.

Idąc od Pałacu Brühla, siedziby MSZ, Mokrzycki miał zamiar skręcić w Krakowskie Przedmieście i przejść się słoneczną ulicą pełną ludzi na Stare Miasto, minąć kościół Świętej Anny i Zamek Królewski i dojść na ulicę Freta, gdzie Skirmuntowie posiadali eleganckie mieszkanie. Mokrzycki lubił gwar Warszawy i jej żywą różnorodność. Mijał przekupki, śpieszących się gdzieś studentów ubranych w mundury korporacyjne, inteligentów, robotników i starozakonných rabinów trzymających się razem i spierających w języku jidysz o sprawy biblijne. Na Krakowskim Przedmieściu kupił w kiosku nowy numer „Skamandra”. Choć dla wielu w jego sferach to pismo uchodziło za „żydowskie” w negatywnym znaczeniu tego słowa, Mokrzycki kupował je zawsze, by podkreślić wśród znajomych, jak bardzo obcy jest mu antysemityzm, który zyskiwał w Polsce coraz większą popularność. Hrabia gardził chłopcami

z Obozu Narodowo-Radykalnego, uważał ich za idiotów, a w żadnym razie za patriotów. Do sanacji miał stosunek pozytywny, ale niepozbawiony krytycyzmu. Wychował się w kulcie marszałka Piłsudskiego, Legionów Polskich i legendy Bitwy Warszawskiej, w czasie której jego świętej pamięci ojciec, hrabia Wojciech Maria Mokrzycki, został ranny. Kiedy go zabrakło, młody hrabia poczuł się nieco zdezorientowany w swoim osobistym stosunku do sanacji. Ojciec Antoniego był Piłsudskiemu oddany bezgranicznie.

Rodzice narzeczonej wybierali się właśnie na kabaret. Młodzi mieli zostać sami. Monika celowo dała służbie wolne. Jednym z przekleństw ich sfery było podglądactwo służby. Nie lubił tego — tych wszystkich ukradkiem rzucanych spojrzeń, pełnych niechęci lub udawanej zyczliwości. Wiedząc o tym, Monika odprawiła służbę i czekała na niego przy pianinie. Znał jej upodobania na tyle, by odgadnąć, w jakim jest humorze, po muzyce, jaką grała. Kiedy była w romantycznym nastroju, zawsze wybierała *Eine kleine Nachtmusik* Mozarta lub sonaty Schuberta.

— Czy podobało ci się, kochanie, jak dla ciebie gram?
— Monika zwróciła się do niego melancholijnym, słodkim głosem, kiedy zjawił się w mieszkaniu.

Mokrzycki lubił patrzeć, jak gra na pianinie, jak jej długie, piękne place suną po klawiszach. Ale nigdy nie zastanawiał się nad tym, czy dziewczyna ma do tego talent. Gdy pojechali razem do Wiednia na koncert słynnych na cały świat filharmoników, by usłyszeć ich wykonanie V symfonii Mahlera, zastanawiał się, czy jego towarzyska rozumiała choć cząstkę tę muzykę. Bo przecież jeśli ktoś rozumie V symfonię Mahlera, nie może zachowywać się próżnie. Tymczasem na koncercie Monika przysnęła! Na

Mahlerze! W duchu musiał przyznać, że jej muzyka fortepianowa była miła dla ucha, ale nic poza tym. Podobnie ich związek — byli sobie przyrzeczeni, ich małżeństwo miało zapewnić obydwu rodzinom poważanie. Ale nic poza tym. W jego wieku należało się ożenić. Ona zapewniała sobie nowy dom i zwalniała rodziców z kosztów utrzymywania jej. On zyskiwał żonę, a w jego sferze znaczyło to bardzo dużo. Rodzice Mokrzyckiego wymusili na nim ożenek przed trzydziestką odpowiednim zapisem testamentu.

Monika miała duże zielonkawe oczy, eleganckie szlachetne rysy, lekko zadarty, mały nos i zmysłowe usta. Nie lubiła się ostentacyjnie malować, preferowała dyskretny makijaż. Mokrzycki podszedł do niej i pocałował ją w usta. Wiedział, że nie należy prosić jej o zgodę, bo gdyby zapytał, przewrotnie odpowiedziałaby „nie” i musiałby się przed nią upokorzyć, błagając, czy może to zrobić. Monice by to bardzo odpowiadało. A tego zdecydowanie nie lubił. Przyłgnął wargami do jej ust i wsunął dłoń pod jej bluzkę. Zdołała jednak zatrzymać jego palce, dając znak, by nie posuwał się za daleko. Poczul się zawiedziony. W zepsutym do szpiku kości świecie elit Warszawy ludzie sypiali ze sobą wedle prawideł wolnej miłości, lecz Monika Skirmuntówna miała swoje zasady. To niegdyś kluczowe słowo w kontekście erotycznej więzi między kobietą i mężczyzną było w moralności roku 1936 roku na tyle osobliwe, że Mokrzycki czuł się przez chwilę jak powstaniec styczniowy całujący się z ukochaną przed wyruszeniem na bój śmiertelny z zaborcą. A tymczasem Mokrzycki nie chciał być powstańcem. Nie tego potrzebował. Chciał zakasać do góry jej sukienkę, włożyć dłoń między jej nogi i nasycić się

wilgocią. Potrzebował jej ciała, którego ona przed ślubem nie chciała mu dać.

Zasady. Musiał po raz kolejny uznać swoją porażkę. Ale on to sobie jeszcze odbije gdzie indziej.

Ileż w ich narzeczeństwie było wieczorków, które płynęły lekko w rytm fokstrota lub nudnych wynurzeń muzycznych późnego Brahmsa. Na szczęście nie musiał silić się na poważne tematy, ponieważ ona i on mieli podobne gusta: literackie i plotkarskie, no, może z tą różnicą, że Monika w ogóle nie interesowała się polityką. Nie chodziła także na wieczory panieńskie do znanej z feministycznych poglądów Zofii Nałkowskiej, gdzie można było napić się absyntu, zapalić przemycaną z Francji marihuanę oraz omówić najnowsze odkrycia mody. Czasy morfinistów przeminęły wraz z *Nad Niemnem Orzeszkowej*, zresztą Antoni zawsze uważał tę powieść za wyjątkowo nudną, ale cóż, w szkole musiał ją czytać z zachwytem, choć robiło mu się od tego niedobrze.

— Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz — powiedziała z wahaniem w głosie Monika.

— Nie, jakżebym mógł! — odrzekł Mokrzycki, choć odczuł po raz kolejny, jak go odrzuca, mimo fizycznej bliskości. — Mamy, moja duszko, całe życie, żeby się ze sobą kłócić.

Celowo tak ją nazwał. Monika Skirmuntówna była bardzo dumną dziewczyną i nie lubiła, gdy mężczyźni zwracali się do niej protekcjonalnie.

Czar wieczoru przysł.

Antoni poczuł, że musi się ulotnić, choćby pod byle pretekstem.

— Za dwa tygodnie wyjeżdżam do Hiszpanii — powiedział w końcu.

Monika dała wyraz swemu niezadowoleniu.

— A ja? A nasze narzeczeństwo?

— Narzeczeństwo na tym nie ucierpi, moja kochana — rzekł Antoni. — Mój wyjazd tylko je wzmocni. Zaraz jak wrócę, weźmiemy ślub.

— W Wilanowie?

— A czemuż by nie? Zaprosimy pięciuset gości, a może i więcej. Stać nas. Choć po prawdzie, wszystko może się jeszcze wydarzyć, moja misja w Hiszpanii zdaje się niebezpieczna — powiedział przebiegłe Mokrzycki.

Monika natychmiast się zmartwiła. Lubił tę jej naiwność i w pewien sposób uroczą prostoduszność. Za nic w świecie nie chciałby jej skrzywdzić, a jednak — małżeństwo z nią musiało dojść do skutku z rozsądku, on natomiast miał już teraz swoje potrzeby i wiedział, gdzie dać im upust. Jak tylko stąd wyjdzie, z tego przesłodzonego gniazdko, uda się do miejsca, gdzie będzie mógł poczuć się jak mężczyzna.

— Martwię się o ciebie — powiedziała Monika.

— Niepotrzebnie, serce ty moje. Muszę jechać. To mój obowiązek.

Dobrze rozumiała to słowo. Mieli się pobrać z obowiązku wobec swojej sfery i rodziny. Antoni nie umiał wyobrazić sobie samego siebie prowadzącego monotonne życie u boku Moniki, dlatego tym bardziej uznał, że wyjazd do Hiszpanii jest okazją, jaka może się więcej nie powtórzyć. Nawet tego dnia, po prawie godzinie w jej towarzystwie, nie mógł dłużej wytrzymać. Wykręcił się pretekstem koniecznego spotkania z jednym z oficerów Becka.

— Będą cygara i dużo wódki, a ty tego nie lubisz, kochanie — powiedział, by nie prosiła, żeby ją ze sobą zabrał.

Nie zrozumiała.

— Nie podoba mi się ta luźna atmosfera. Kiedy będziemy małżeństwem, twoim obowiązkiem będzie mi towarzyszyć. Skończą się te wieczorki kawalerskie!

Mokrzycki ukrył irytację.

— Nie wątpię w to, moja duszko. — Pożegnał się szybko, nie chcąc narażać się na jej reakcję na ponowne nazwanie jej tymi słowami.

✱

Po wyjściu od Skirmuntów Mokrzycki poczuł, że musi pooddychać świeżym powietrzem, którego brakowało w ich dużym sześciorokowym mieszkaniu. Miał pewien sekret, pielęgnował skrywaną namiętność do żydowskiej tancerki pracującej w jednym z klubów nocnych na ulicy Nowolipie. Nazywała się Golda Cwajnbłum, miała dwadzieścia sześć lat, a poznali się podczas jednego z wieczorów kawalerskich kolegów z roku Antoniego. Absolwenci prawa Uniwersytetu Warszawskiego zazwyczaj po studiach wybierali drogę adwokatury, jeśli mieli dostatecznie bogatych i mających znajomości rodziców, lub drogę wojskową. Ci drudzy zostawali podporucznikami Wojska Polskiego, a to była nie lada gratka. Własne mieszkanie, ordynans na posyłki i cztery tysiące złotych pensji, podczas gdy robotnik w Warszawie zarabiał trzysta złotych miesięcznie w fabryce u Lilpopa.

Podczas jednego z takich suto zakrapianych wesółych wieczorków Mokrzycki poznał Goldę. Miała

fantastycznie długie nogi, temperament i czarne piękne włosy. Każdy z chłopaków chciał ją zdobyć, ale Golda, jako tancerka, nie była panienką do wynajęcia. Mokrzycki ze swoich kumpli był najbogatszy, a papa, gdy żył, nigdy nie żałował mu na uciechy, wiedząc, że jak chłopak się wyszumi, będzie lepszym mężem i ojcem w przyszłości. Gdy inni ochoczo pogwizdywali, Mokrzycki po prostu zaprosił ją na kolację do najlepszej koszernej restauracji w Warszawie. Wówczas jeden z podchmielonych polską wódeczką kolegów wyrzekł słowa, które zapamiętano na długo:

— I ty, patentowany polski hrabia, z Żydówką będziesz się szlajał...?!

Hrabia Mokrzycki zachował się wówczas zupełnie jak nie ze swojej sfery. Wziął olbrzymi zamach i wymierzył cios prosto w szczękę temu, kto śmiał antysemitycznym bluździem w jego obecności ubliżyć kobiecie. Wszyscy się zdumiali, gdy pięść Mokrzyckiego ozdobiona sygnetem złamała nos pijanemu wielbicielowi polskiego narodu. Usłyszano trzask, po którym nawet Golda, która zatańczyła wspaniałe flamenco, musiała nabrać do Mokrzyckiego szacunku. Wieczór kawalerski skończyłby się karczemnym mordobiciem, gdyby nie to, że kilku oficerów odciągnęło Mokrzyckiego od wrzeszczącego wniebogłosego mężczyzny. Hrabia użył prawego sierpowego, ale lewy miał równie silny i zamierzał przeciwzić go na szczęce tamtego. Zalany posoką narodowiec został odprowadzony do łazienki, a z kuchni przyniesiono mu szybko lód, w którym chłodziła się wódeczka. Owym lodem okładał bolące miejsca na twarzy.

— Aleś bokser! — skwitowali koledzy.

— *Pax inter Christianos!* — rozległ się głos wzywający do pokoju.

— Użyłem przemocy, której się brzydzę — powiedział Mokrzycki — ponieważ kolega Ziobro źle wyraził się o damie.

Ziobro był doktorantem prawa konstytucyjnego i członkiem opozycyjnego wobec władz Stronnictwa Narodowego. Znany był z niechęci do Żydów, którą na ogół tolerowano, ponieważ na spotkania kawalerskie Polacy nie dopuszczali swoich starszych braci w wierze. Ziobro został jednak zmuszony do przeproszenia damy, ale odtąd Mokrzycki zyskał w jego osobie śmiertelnego wroga.

Działo się to w sylwestra 1935 roku. Wtedy właśnie Mokrzycki poznał Goldę. Była Żydówką, ale nie żyła według praw swojej wiary. Pochodziła z Żytomierza, a jej religijna rodzina wyrzekła się jej. Pracowała w różnych warszawskich kabaretach jako tancerka, żeby się utrzymać. Mokrzycki zauważył, że nie brakowało jej na dobre ciuchy i znośne perfumy, więc było prawdopodobne, że miała jednego lub kilku adoratorów. Nigdy o to nie pytał. Nie był zazdrosny, nie miał zresztą do niej praw.

Połączyła ich czułość. Mokrzycki potrzebował tego, czego nie dostawał od swojej narzeczonej, czyli ostrego seksu i tego, co potem — wtulonych w siebie ciał, wsłuchiwania się w bicie serca, rozmów o sztuce, religii i muzyce. Czegoś takiego nigdy od Moniki nie dostał i nie był wcale pewny, czy po ślubie otrzyma choćby namiastkę.

— Ja już znalazłam mojego mesjasza.

— Doprawdy?

— Tak, ciebie, hrabio Mokrzycki.

— Bluźnisz, Żydówko.

Pocałowała go namiętnie w usta.

— Mogę bluźnić, bylebyś pozwolił mi kochać cię dalej — odpowiadała Golda, patrząc na Mokrzyckiego spod swoich kruczoczarnych brwi, podczas gdy on leżał nagi obok niej. — Takiś ty mądry, a jakbyś nie wiedział, jedyna różnica między Żydem a katolikiem jest taka, że wy od dwóch tysięcy lat już macie swojego Mesjasza, a my wciąż czekamy.

Mokrzycki nie wdawał się jednak w dyskusje na mesjańskie tematy. Po pierwsze dlatego, że przesiąknął nimi w szkole w II Rzeczypospolitej — mesjaszem była Polska umierająca za inne narody w Europie, choć nikt tego nigdy od Polski nie wymagał. Mokrzycki był realistą. Jego dziadek walczył w powstaniu styczniowym i stracił w bitwie pod Miechowem z Rosjanami lewą rękę, jednak patriotyczna przeszłość rodziny nigdy nie stępiła w hrabim trzeźwego osądu politycznego. A poza tym spotykał się z Goldą nie jako z Polak z Żydówką, tylko dlatego, że była doświadczoną kochanką i towarzyszką, lubił z nią rozmawiać o muzyce Szymanowskiego i było im razem dobrze w łóżku.

— Jaka jest ta twoja... Monika? Ta Skirmuntówna — zapytała go kiedyś Golda, gdy po szybkim seksie leżeli obok siebie na jej łóżku w wynajmowanym przez nią pokoju przy ulicy Nowolipie.

— Zimna jak westalka.

— To po co się z nią żenisz? Dla pieniędzy? Wytłumacz mi, bo nie rozumiem.

Mokrzycki popatrzył na kochankę tak, jak nigdy wcześniej.

— Czyżbyś była zazdrosna?

— Trochę jestem. Ona nic dla ciebie nie znaczy, a chcesz się z nią żenić — odpowiedziała Golda. — Nie obraż się, ale mam doświadczenie z różnymi facetami.

— Nigdy nie robiłem ci z tego powodu wyrzutów — powiedział Mokrzycki, podnosząc głowę z łóżka. — Wiesz o tym dobrze.

Golda uspokoiła go, gładząc po włosach dłonią.

— Wiem, kochanie, że jesteś dżentelmenem, i za to cię lubię. Lubię cię też za inne rzeczy, jesteś dla mnie dobry, nie żałujesz mi pieniędzy, kiedy proszę cię o pożyczkę. Ale nie w tym rzecz. Twoja narzeczona nie znaczy dla ciebie wiele, ponieważ... — urwała.

— Ponieważ? Wyduśże to z siebie!

— Ty chcesz kochać kobiety, starasz się, przykładasz, po polsku, elegancko, ale nie tego pragnie twoja dusza, skarbie.

Mokrzycki nigdy się nad tym nie zastanawiał. Po chwili zmienił pozycję na łóżku i zapalił papierosa. Nie wiedział, co odpowiedzieć, bo w gruncie rzeczy zdawał sobie sprawę, że Golda miała rację. Monika Skirmuntówna była ładna, niewinna, głęboko wierząca, dumna, pełna patriotycznych uczuć, kochająca Polskę romantyczną, a przy tym wpatrzona w siebie i w pojęcia, które wpoił jej rodzice, ale nie była kobietą dla niego. Hrabia miał mętlik w głowie. Nie wiedział, czy może się jeszcze wycofać ze związku z Moniką. To byłby skandal, który z pewnością miałby wpływ na jego pozycję w MSZ, a na to nie mógł sobie pozwolić. Nie chciał, aby prywatne życie miało wpływ na jego karierę zawodową. I choć docenił szczerść tego, co powiedziała mu Golda, odparł z naciskiem:

— Nie mówmy o tym, proszę. Nie chcę rozmawiać o Monice.

— Ale nie rozmawiamy o niej, kochanie, tylko o tobie.

— Nie jestem na to gotowy — odpowiedział szczerze.

— Bo przychodzisz do mnie, by o niej zapomnieć — odezwała się na to Golda.

Mokrzycki obrócił się na łóżku i pocałował ją w usta. Dziewczyna próbowała zatrzymać go w swoim świetle, ale obydwoje wiedzieli, że to niemożliwe. On musi odejść do swoich eleganckich sfer, a ona podążyc własną drogą — tancerki wyklętej przez swoich i balansującej na krawędzi. Mokrzycki uznał, że to dobry moment, żeby jej coś wyznać.

— Dostałem nowe zadanie.

— Mianowicie? — zaciekała się. — Cała zamieniam się w słuch, panie sekretarzu stanu.

— Muszę wyjechać do Hiszpanii.

— Musisz czy chcesz?

— To jedno i to samo.

Mokrzycki czytał ostatnio książkę Hermanna Cohena i uznał, że taka odpowiedź będzie najlepsza. Rzeczywistość, możliwość i konieczność to przecież tożsame kategorie.

— Na długo?

— Nie wiem. Mam objąć stanowisko w ambasadzie.

— Zabierzesz mnie ze sobą?

— Wiesz przecież, że to niemożliwe — odpowiedział spokojnie, gładząc kochankę po włosach.

— Zobaczmy się jeszcze? — zapytała dziewczyna, szczerze zmartwiona jego wyjazdem.

Nadszedł moment, aby to przerwać, dla mojego i jej dobra, pomyślał Mokrzycki. Po chwili jednak zreflektował się, że sam siebie okłamuje. Porzucał ją wyłącznie dla własnych korzyści.

— Mam teraz dużo spraw na głowie, muszę je wszystkie zamknąć przed wyjazdem. Wyruszę za kilka dni, nie zdążę się wcześniej z tobą zobaczyć.

Zabolało ją to. Widział to w jej oczach. Takiego spojrzenia się nie zapomina. Wie to każdy, kto zostawił ukochaną osobę i wybrał siebie samego zamiast miłości. Nie urządziła jednak sceny historycznego szlochów ani pretensji, których by nie zniósł.

— Wiedziałam, że mnie zranisz.

— Kochanie, w tym nie ma nic osobistego — powiedział Mokrzycki, i było to prawdą.

W tym rozstaniu naprawdę nie było niczego osobistego — mężczyzna poszedł w swoją stronę, po własne przeznaczenie, a kobieta została sama, z pustym miejscem w łóżku wypełnionym jego zapachem.